



Rok II.

1868.

Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.”

rocznie	8 zlr. — ct.
półrocznie	4 „ — „
ćwierćrocznie	2 „ — „
Pojedynczy numer	— „ 20 „

Nr. 9.
1 Marca.

Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową

rocznie	8 zlr. 50 ct
półrocznie	4 „ 30 „
ćwierćrocznie	2 „ 20 „
W w. ks. Poznańskim ćwierćrocznie	1 tal. 15 sgr.
We Francji — ćwierćrocznie	6 franków.

Żebracy ukraińscy.

Wyjątek z listu Tadeusza Padalicy.

Żebrakami na Ukrainie, jak wszędzie, zwykle są starcy i kaleki. Wielu z nich byli i lirnikami i śpiewakami razem, lecz dziś lira i pieśń wychodzi z użycia i rzadko da się spotkać taki rapsodysta ludowy. Niegdyś przypisywano im kompozycją historycznych dum ukraińskich, lecz głębsze zastanowienie się nad charakterem tych pieśni przekonało, że oni zwykle byli tylko śpiewakami, a układały się te dumy i pieśni przez współczesnych świadków, niekiedy nawet przez uczestników opiewanych wypadków. Lirnik ukraiński, często ślepy, chodził ode wsi do wsi, siadał przed cerkwią lub na jarmarkowym bazarze i śpiewał przygrywając na lirze, a przechodzący dawali mu jałmużnę. Towarzyszył mu zwykle chłopczyzna jaki, sierota, którego on brał na naukę i przyzwyczajał do życia tułaczego, do znoszenia niewygód, głodu i zimna. Niegdyś tacy lirnicy, uciulawszy trochę grosza, osiadali w jakiej ludnej wsi, kupowali chatę z ogrodem i zakładali szkołę żebraków młodych. Lud ukraiński nie widzi w takim żebraku nędzy i kalectwa, nie patrzy nań z uczuciem politowania, ani ze wstrętem; on go uważa za istotę konieczną w społeczności i według jego pojęć, ubogi żyje na ziemi dlatego, ażeby przypominał ludziom przykazania Boże względem cierpiących bliźnich. Życie tych starców, przez kalectwo samo, wyłącza się już



Żebracy ukraińscy.

z warunków zwyczajnego ludowego bytu. Według pięknej myśli jednego małopolskiego pisarza Kulisza, są oni jakby umyślnie stworzeni na to ze znamięm ślepoty, ażeby zagłębiając się w siebie, rozwinąć dar myślenia i owoce tych myśli wnosić do serc ludu, zapładniając je religijno-filozoficznym elementem, a tym sposobem moralne jego życie podnosić do właściwej mu sfery.

Na jakim stopniu zapomnienia jest dziś ślepy śpiewak ludowy, daje nam przykład p. Kulisz, cytując wyrazy jednego z nich, Archypa Nikonenka. Opowiadając mu o kłopotach domowego życia, o żonie swarliwej i pijanicy, starzec dodaje: „Mniejsza wreszcie o to, a jeślibym na niedzielę nie miał kobzy przy sobie, to górybym wytopił (Bóg nie wie co bym gotów był zrobić). A żona mi ani w głowie. Często wstanę sobie w nocy i gram a gram samiutenki...

„Teraz, widzicie, mali zaczęli być starcami, nie nie umieją. Zacznił go uczyć, a on słuchać nie chce. „Wszystko to, mówi, kłamstwo. Wasi ojcowie łgali i wy łżecie.“ A i tak się zdarza niekiedy, że jak gdzie zaskoczą naszego brata

na gościńcu, to go i wytluką. Cóż to za kłamstwo, kiedy tak właśnie było! Sami nie nie rozumieją i nas bałamuca jeszcze. Kiedyś tak było, że co nam powiedzą na żart, my to bierzem na rozum: to jest, że co nam powiedzą dla śmiechu; my słuchamy pilnie. A teraz — przyjdzie do ciebie żeby się nauczyć... Jakże to uczyć, kiedy ono... Oto dobrze było jak byliśmy pokorni, a co nam powiedzą na żart,

to my bierzem na rozum. A dziś, jak się tylko nauczy, jak o chleb prosić, to i pociągnie w świat sobie... Bywało stary kobzarz posadził mię obok siebie. Choć nie bardzo chciało się słuchać — a teraz i z tem dobrze co się nauczyło — i tem zarobisz kopiejkę... Teraz i rodzonego dziecka nie nauczysz — tak się zrobiło na świecie... Jeden Bóg i jedni ludzie — a niejednako się dzieje.“

Zamieścimy później w Tygodniku obraz ukraińskiego lirnika. Latem można ich spotykać niekiedy na jarmarkach, zimą zaś siedzą oni gdzieś w głuszy wniosek. Szkic który tu przedstawiamy wyobraża ślepe chłopię ukraińskie, w towarzystwie równego mu malca, przewodnika. Pan K. Przyszychowski przerysował obydwóch z natury, Rysunek ten odznacza się wybornem powtórzeniem typowych rysów oblicza ukraińskiego ludu.

Więzienie w Tobolsku

(Urywek z pamiętników zbiega.)

(Ciąg dalszy.)

Przejdziem, w połowie budynku szpitalnego umieszczonem, wchodzi się do tej części zamku, która nosi nazwę podwórza kajdanego, po rosyjsku dwor kandalnyj. Taką brona ze sztab żelaznych, co i u wjazdu, tylko rozumie się mniejsza i zupełnie jak brama się otwierająca, zamyka to przejście.

Zabudowanie, wznoszące się na tem podwórzu, zasługuje prawdziwie na nazwę więzienia we więzieniu. Jest to szary budynek jednopiętrowy, w czworogran zbudowany i tak dookoła drugimi budynkami niby murem obwiedziony, że wązkie uliczki pomiędzy nim a temi ostatnimi wyglądają jak rowy twierdzy, brak zaś światła, nie mającego tu dla wysokości murów owych budynków przystępu, podnosi jeszcze bardziej tę posępność i czyni go straszny. Nie wiem, czy jest gdziekolwiek na kuli ziemskiej zabudowanie, któreby sobą lepiej uzmysłowiało pojęcie niewoli, jak właśnie to, o którym mowa.

Bok tego czworogranu do szpitalu obrócony, a za tem frontowy, zajmuje cerkiew więzienna. Wchód do niej jest nieco w lewo od przejścia, gdyż wprost przeciwna ściana tworzy półokrągłą wypukłość, w której wnętrzu ołtarz, preston cerkwi, się mieści. Zewnątrz wypukłości tej namalowany jest Zbawiciel naturalnej wielkości, a pod nim umieszczone słowa: „Prijdite ko mnie wsie...“ Venite ad me omnes... Większej sprzeczności od tej, którą tworzy krzyż, to godło miłości nieskończonej i bez granic miłosierdzia, z zabudowaniem tym żywym, że tak powiedzieć można, pomnikiem nieubłaganej nienawiści, trudno sobie przedstawić. Ona jest tak rażąca, iż zdaje ci się, że obraz ten naumyślnie umieszczony w tym celu, aby piekielnie zaszydzić sobie z tych wszystkich, co będą kiedykolwiek zmuszeni nań patrzeć. Ponure sąsiedztwo krat, zamków i bron żelaznych jako też szare tło ściany więziennej sprawiają, iż w obliczu Chrystusa nie dobrotliwego i przebaczącego Zbawcę świata, lecz groźnego i nie ubłaganego despotę spostrzegasz, a po venite ad me omnes nie którzyście głodni — lecz którzy sprzeciwiacie się mojej carskiej woli! czytać się zdajesz.

Reszta tego czworogranu mieści kaźnie dla więźniów to pod sądem tobolskim jeszcze zostających, to do robót katorżnych zesłanych, tak nazwanych podsudimych kandalščyko w przeznaczonem.

Od tych to ostatnich całe podwórze otrzymało nazwę „kajdanego.“

W czasie jednak, kiedy pędzono Polaków znaczniejszemi masami na wygnanie, a zatem wtedy, kiedy opowiadanie nasze przypada, katorżników politycznych mieszczono po innych podwórzach; podwórze zaś „kajdanego“, a raczej całe pierwsze piętro jego, było przeznaczonem dla więźniów grażdzańskich t. j. nie politycznych, bądź do robót, bądź na zaludnienie wysłanych.

Udając się od cerkwi na prawo, dojdiesz do wysokiej, wązkiej furty gotyckiej, do cerkwi przytykającej. Ta furta toż samo zamyka się broną ze sztab żelaznych — i wiedzie do ciemnych krużganków budynku. Ci więc, co się we wnętrzu jego znajdują, trzema zamkami bywają od świata oddzieleni, nie rachując w to zamków, któremi kaźnie na noc bywają zapierane.

Krużganki, ciągnące się wzdłuż trzech boków czworogranu, oświetlone są oknami wysokimi, wychodzącymi na małe wewnętrzne podwórko, które atoli tak jest ciemnem, że tylko jakiegoś półświatła udzielić jest w stanie. To też bywa tu na kurytarzach śród dnia nawet tak, jak gdzieindziej o zapadającym zmroku.

Po jednej stronie kurytarza ciągną się kaźnie dla więźniów podsudimych przeznaczonem; okna ich prawie kwadratowe wychodzą na wyżej wspomniane uliczki. Pierwsze piętro zabudowania tego, o połowę niemal niższe od dołu, nie ma ni kurytarzy, ni osobnych kaźien, a składa się z rzędu komnat, do okola trzech ścian budynku się ciągnących i jeden tylko wspólny wchód mających. Sklepienia niskie i półokrągłe czynią je do pieczar lub piwnic podobnemi. Małe, półokrągłe, gęsto okratowane i dla niskości komnat przy samej podłodze umieszczone okna przepuszczają przez wiecznie zakopcone i we wszystkie barwy tęczy ozdobione szyby tak mało światła, że tu zawsze podobnie jak na dolnych krużgankach.

Niskość pułapu czyni powietrze nader ciężkiem i dusznem i nie podobna by było wyżyc temu tłumowi więźniów, których tu skupiają, gdyby otwory u pułapu umieszczone nie odświeżały trochę atmosfery.

Ni tapczanów, czyli tak zwanych nar, ni łózek tu niema; dookoła ścian rozeslane kilimki kirgizkie, tak zwane wojłoki, służą więźniom za posłanie.

Wieczorem, kiedy wszystkich więźniów skupi zamknięcie kaźien, rząd ten komnat połączonych między sobą tylko otworami, do bram wązkich podobnemi, przedstawia jedyny w swoim rodzaju widok. Tu i owdzie rozstawione światła gorejące śród zgęszczonego powietrza nie uchylają zupełnie cieni wieczornych i nadają tem panoramie owej tyle fantastycznego kolorytu, iż przeniesiony nagle w te miejsca mniemałbyś się gdzie w jaskini pośrodku licznego grona zbójów, wesolo odpoczywających po jakiej wyprawie.

Bo i do tego miejsca ma przystęp weselość. Ma ona wprawdzie tyle barbarzyńskiego i tyle dzikiego w sobie, iż prędzej by ją nazwać można rozpaczą śmiechem się objawiającą, jak szczerą i nie troszczącą się o nic radością. Zważywszy jednak na usposobienie tych, co się jej oddają i na miejsce, w którym się to dzieje, przyznać należy, iż inną być nie może. Zbrodniarze więzienni bywają weseli gromko, huczno, po zwierzęcemu, że tak powiem, bo raz że wiedzą, iż smutek mało na co im się przydał, a potem, bo potrafili namiętności swoje wrzące choć na chwilę zaspokoić, bo mimo czaty i rewizji podolali dostać i wódki i kart i kości. Jest to więc cej jak dostateczny powód do uciechy dla więźnia zbrodniarza. Na swobodzie trzeba mu oszustw, kradzieży, rozbojów i mordów — we więzieniu on zadawała się drobnostkami, jak wódką, kartami i kośćmi. W obudwu wypadkach on oddaje się zatrudnieniom zupełnie, ciałem i duszą, że tak rzekę, i tu jak tam zadowolenie z udania się jego przedsięwzięć jest jednakowem.

Ta sposobność całkowitego przejęcia się życiem, w jakiejby sferze ono płynęło, popiera jednym dowodem więcej tę prawdę, że zbrodniarze są ludźmi niepospolitego usposobienia, że każdy z nich, poprowadzony z młodości lepiej, mógłby tak samo wznieść się nad gmin szlachetnemi czynami, jak odróżnił się od niego zbrodniami.

Dzikie, gęsto obrosłe postacie, często z przyczyny gorąca półnagie, to z piętnami zbrodniarzy na zwiędłych twarzach lub na plecach, to z głowami na poły golonemi lub rozczochranemi, to w brudnej do ekliwkości i grubej aresztanckiej, to w ulubionej od Moskali cienkiej i pstrej bieliznie, przesuwały się w półmroku tej jaskini jak cienie piekielne i oddychają zepsutem miazmami powietrzem więzienia tak lekko i tak swobodnie, jak gdyby się tu zrodziły i do tych miejsc stworzonemi były. Rzadko gdzie w kąci i śród gęstych cieni napotkasz oblicze zadumane i smutne, wszędzie rysy

wybitne, namiętnością naccchowane i żywe, wzroki pełne ognia, lecz ognia tego dzikiego, co to zwykł goreć wśród rozhukanych namiętności, ruchy nieobuzdane, cyniczne, mowy głośnie i hałaśliwe. Można sobie wyobrazić, jakiemu uciskowi podlegają te umysły, kiedy reakcja w nich do tego doszła stopnia, że struny uczuć nad miarę naciągnięte, miasto spodziewanym jękiem boleści, wrzaskiem konwulsyjnej, że tak się wyrażę, brzmia uciechy.

Gwar rozmów krzykliwych i śmiechów, hałas klótni i przekleństw straszliwych, szum pomieszanych melodji i pieśni z różnych miejsc dolatujących, brzęk kajdan, sztuk i rozgardjasz wszelkiego rodzaju, wszystko to zlewając się razem w jeden wrzask chaotyczny, wzmoconiony jeszcze ciasnotą miejsca, ogłusza zupełnie i czyni niepodobnem dosłyszeć, jak to mówią, własnego słowa. Zrozumieć cośkolwiek z tego chaosu dźwięków, i odgadnąć, czego choć jeden z nich się domaga, znaczyłoby rozwiązać węzeł gordyjski palcami.

Nie mięszający się do ogólnej wrzawy i spokojnie chcący tu poleżeć więzieni uczuwa jakoby ciągle drażliwe uderzanie jakichś niezrozumiałych dźwięków w bębni słuchowych swych organów i nie widzi możliwości skupienia swego umysłu do jedynej jakiej myśli, tak rozerwanym jest ten ostatni w skutek bezustannego i przymusowego przyjmowania najróżnorodniejszych i jednoczesnych wrażeń.

Aby dać choć przybliżone pojęcie o tem, co się dzieje zwykło w tych miejscach podczas długich wieczorów jesiennych i zimowych i w ogóle zawsze po zamknięciu kaziem, kiedy więźni wie już są pewni, że ich nikt nie przydybie zniemacka, skreślmy tu kilka obrazków z życia tego wyjętych.

Nie piszemy powieści nowoczesnej, t. j. nie kreślimy życia wymarzonego i nie istniejącego, bo w ogóle utwory takie według naszego zdania wielkiej nie mają wartości, celem naszego opowiadania jest o ile możliwości zbliżyć się do natury, do rzeczywistości i przedstawić to, co jest i jak jest — mniemamy się więc być wyjętymi z pod praw i zastrzeżeń, jakim pisarze urojeń fantazji ulegają, i nie widzimy potrzeby zmniejszać tego, co jest brutalnem i przedstawiać brzydkiego w piękniejszych jak nie rzeczywiste barwy. Mniej nam będzie, że nas mniej oględnymi mogą nazwać, jak żeby nas mieli nazwać kłamcami.

Tam w kącie za piecem siedzi na kilimku grono grających w karty. Ciasnem kołem otaczają go widzowie i bacznie śledzą za torem gry hazardowej. Pośrodku koła siedzących, w naczyniu jakimś zatknięta pali się łożówka i słabo oświeca blade twarze graczy, z których każda na obu policzkach i na czole nosi zwykle piętno kajdaniarzy: K A T. tj. początkową zgłoskę słowa katorżnyj.

— Hej ty, majdańszyk — ozwie się jeden z koła, zasłaniając ręką łożówkę, podczas gdy drugi z graczy rozdaje karty — dawaj tu na majdan karty nowe i tytoniu. Niema jeszcze i godziny, jak gramy, a masz już w kruszce do 40 kopijek.

Prawo trzymania kart bywa przez publiczną licytację jednemu z aresztantów sprzedawane przez ogół. Ten, przy którym to prawo się utrzymało, zwie się majdańszykiem. Obowiązkiem jego jest dostarczać grającym kart, światła i tytoniu, za to każdy wygrywający przy każdorazowym zysku wrzuca pewną część w umyślnie na to przygotowane naczynie, czyli tak nazwaną kruszkę. Miejsce, gdzie się gry odbywają, zwie się w języku więziennym majdanem.

— Tytoń zdałby się — odpowiada rozdający karty — lecz kartami grać jeszcze można.

— Tobie, to można psi synu! — odeprze pierwszy — ale ja się nie zgadzam na to!

— A to ruszaj do diabła z majdanu! obejdziesz się bez ciebie...

— Tam do milion szatanów! czy nie widzisz, iż ani jednego chłusta nie miałem: wszystko przegrałem i kajdany nawet zastawiłem.

— A mnie co do tego?

— Jak to co?

— Swoją matkę przeklinaj i precz z majdanu!

— Ja precz z majdanu?! mam zostawić cię tutaj — abyś mógł podrzynać i drugich okpiwać? nie doczekanie twoje, psi synu!

— Kto podrzyna trutniu? to weź karty i mięszaj sam.

Podrzynać we więziennym języku znaczy wolty robić.

Ten któremu zarzucano to oszustwo, rozszoszczony do najwyższego stopnia zrywa się z siedzenia i ciska oponentowi swemu cały taljon kart w oblicze.

— A, ty bić się chcesz, lotrze przeklęty — krzyczy ten ostatni zrywając się toż samo na nogi — więc masz, kiedy chcesz!

I wszczyna się tak zwykły po więzieniach, i tak straszny niekiedy w swoich następstwach bój na kulaki. Około siedzący powstają i przypatrują się z ciekawością — niektórzy lecą rozrywać. Łojówka przewrócona gaśnie, po podłodze toczą się pieniądze dla majdanczyka uzbierane, blisko stojący rzucają się nań z chciwością. I krzyk wrzask wzmagają się coraz więcej. Z drugich komnat leżą patrzeć i godzić — i tak w jednym miejscu wszczęte zamieszanie, udziela się wnet całemu szeregowi komnat.

Przy kipiącym samowarze siedzi grono Tatarów. Jeden z nich wyrwa szczypczykami umyślnie na ten cel przyrządzonemu leżącemu mu na kolanach towarzyszowi włosy z brody i wąsów. Drudzy bacznie śledząc za ruchami innego, co rozłożywszy na kilimku kilkanaście kupek orzeszków cedrowych do wrózenia „z bobków“ się zabiera, wrzaskliwie o czemś po swojemu bełkocą.

Zbliża się jakiś więzień Moskal z piętnami na twarzy i posiada do grona.

— Słuchaj tatarska łopatko! — mówi on do wróżącego, poprawiając sobie z ucha na ucho czapkę — powróż mi trochę.

— Moja — odpowiada tenże łamanym językiem — urusom nie zna wróżyć.

— Nie przeszkadzaj znajom — wtrącają drudzy Tatarzy — my twoja nie przeszkadzam. Potem, potem, teraz czas niema.

— No no! wróćcie sobie, mówi zbrodniarz protektorskim głosem — ja popatrzę. Kiedy tylko widzę tatarską jaką łopatkę, zawsze przypomina mi się jeden chłopczyk tatarski, co w moich oczach umierał.

— A to jak? — zagadnął z tyłu stojący więzień z goloną na poły głową.

— Rozumie się, że nie w łóżku, a na stepie pod nożem! — odpowiedź zagabnięty.

— Kiedy? gdzie? jak? — zawoła razem kilku więźniów, otaczających grono Tatarów w celu przypatrywania się wróżącemu, co nie zważając na rozmowę obok niego się toczącą, dalej rozkłada swe bobki i coś z nich towarzyszom swoim, na każde twierdzenie mu potakującym, niby z książki prawi.

(C. d. n.)

RENEGAT

(powieść tegoczesna)

napisał

ADOLF NAŁĘCZ.

I. Zastęp carski.

W roku 1831, okolice miasta Dubna ożywione były przemarszem licznych oddziałów zbrojnych.

Poprzeżynana głębokimi parowami — okryta lasami — przepłataną równinami piaszczystymi na których pagórki, mogiły i kurhany usypane wiatrem sterczały jakby drogoscazy, ongi wałęsających się hord tatarskich — kraina ta, chyląca się ze swemi źródłami ku brzegom Bugu i Prypeci, była niby zasłona, którą szybkim pochodem, przerywały drobne lub liczniejsze oddziały walczących przeciwników nad brzegami starej Wisły — zagładając i buszując w równinach Wołynia. Bezbarwny — ni piaszczysty, ni górzysty kraj ten, z którego ziemicy sączą leniwo wody, formując bagna, moczary i trzęsawiska we wszystkich kierunkach, zamieszkały jest biedną ludnością obkrążoną nieprzybytymi lasami, która jak

okolica, którą zaludnia, leniwo i gnuśnie bez wieści o dalszym świecie, prowadzi życie bez celu, pozbawiona styczności z żywo i raźnie oddychającymi braćmi za Bugiem i dalej nad Wisłą. —

Nadaremnie szuka oko szerszego widokregu w tych okolicach, tu grzbiet usypany s piasku, tam gęste krzaki ze sterzącymi luźnie jakby pale drzewami, tu znowu moczar zarosły trzcina albo urwisko u brzegu potoku, zasłania, przerywa lub skruca widok, odmiany szukającego wędrownika, któren znudzony tą ciasnotą wpada mimowolnie w apatję, nie dopatrzwszy gościnnej strzechy, do której dąży a od której pewnie jest już nie daleko; — naraz — objeżdżając mały laszek zobaczysz wieś jakby ze ziemi wyrosła. Ani ryk bydła — ani szczekanie psów, ani pianie kur i kogutów, nic wcale nie obznajomiło cię przed chwilą, że tu mieszkają ludzie.

Pochylona cerkiew, wałaca się karczma i bielejący się za krzakami dworek przekonują Cię jednak niezbitcie, że to jest osada ludzi, którzy modlą się do Boga, słuchają jakiegoś szlacheica w dworze i zapijają do reszty swoje pojęcie o świecie — u żyda.

Wieś taka nazywa się smolanką. Owóz takich osad, takich smolanek masz na Polesiu do syta — jedna jak druga ma tę samą fizjonomję — a prawie każda z nich jest w lesie lub krzakach schowana, że nie dopatrzysz ją z dala, tylko koniecznie musisz mieć niespodziankę, wjeżdżając na nią raptem — nie dopatrzwszy pierwszej nawet na kroków kilkaset, znamion ludzkiej osady.

Kilkanaście lub kilkadziesiąt nędznych chałup — a na około pustynia, po której tu i owdzie błaka się wychudłe bydło lub bosi obdarty pastuszek szukając leśnych owoców, albo grzybów ukrytych pod mchem i dzikiem zielskiem — osada taka nazywa się wsią; ma posiadacza wpisanego w tabulę krajową, należącego do rycerstwa dawno nie rycerskiego — popa zaledwie umiejącego czytać, któren nauczył się na pamięć odśpiewania mszy i kilku modlitw, imponuje nauką swoim głupim owieczkom i prosi serdecznie Boga, żeby one były jeszcze głupsze, i nareszcie posiada Ieka lub Moszka arendarza o rudej brodzie i rozczuchranych pejsach, który prześcignawszy dziedzica butnego i popa hypokrytę — rozumem i sprytem, wyzyskuje pod ich patronatem nędznego chłopca.

On jest jego bankierem, rachmistrzem i doradcą w przykrych położeniach, opłaca chrzciny — wesela i pogrzeby popowi, w zamian zaś konfiskuje mu za procenta kury — kaczkę i jaja, utrzymując go w ciągłej zależności jakby niewolnika, skazanego na wieki być bitym, wyzyskiwanym i oszukiwanym.

Pan nazywa chłopca w tych stronach chamelem, pop honoruje go nazwą mudia; a arendarz durnym Iwanem; co razem wzięwszy przystraja go w tytuł: mudioski — chamski — durnego Iwana, Moskal zaś jednym słowem, łączący te wszystkie pojęcia, w pogardliwej nazwie mużyka. Mużyk pochodzi od muž — mąż, to jest człowiek — mużyk zatem wyraża myśl człowieka, niby-człowieka — pół-człowieka to jest pół-bydłęcia na rozumie i umyśle.

Chłopi tych stron, są podług tego oznaczenia pojęć same mużyki — gdyż o to się starają: ojcowski rząd — głupi pomieszczyk — oszust pop i sprytny żyd aby nigdy nie byli ludźmi a oto w celu bogobojnym, utrzymania spokoju i szczęścia na tej ziemi a wiecznej nagrody w niebie, za zniesione cierpienia na tym padole płaczu i marności dóbr doczesnych.

W tych okolicach i między tą ludnością przesuwaly się różnobarwne hufce zbrojnych ludzi obu przeciwnych obozów! — jedni aby się łączyć ze swemi nad Wisłą; — lub poruszyć do otwartego powstania uspioy w głupocie i gnuśności naród, — drudzy zaś aby utrzymać prawowity porządek i posłuszeństwo, rabując szlacheica, turbując żyda i palkując, dla otrzeźwienia moralnego, chłopca — chachola — mużyka, wydzierając mu ze szkodą arendarza ostatnią kurę, jaja, ba! nawet krowę lub barana.

Reprezentanci porządku i lojalności, przywłaszczali sobie mienie mieszkańca — ich przeciwnicy zaś apelowali tylko do ich uczuć i godności, aby uzyskać sympatję dla sprawy, w której obronie podnieśli oręż, ofiarując swoje życie w nadziei lepszej przyszłości nie

dla siebie — lecz dla tych, którzy nie czuli krzywdy, i spokojnie przypatrywali się krwawym zapasom,

Chłopi — mużyki — chacholy uciekali w lasy na widok kozaka lub innego wyobraziciela władzy ustalonej, uwodząc ze sobą cały mizerny swój dobytek — pop napędzał swe córeczki z domu, ukrywając je w cerkwi, aby strzegły jak westalki na czas pobytu carskich zastępów, kerbonkę i swoją wątpliwą cnotę. Żyd arendarz, imieniem Icko, krył pod mierzwę i gnój swoje kosztowności, zbiór szabasowy i binde żonina, zostawiając garniec okowity wzmocnionej witriolem! na pastwę moskali szukających męstwa na dnie kieliszka. — an zaś pomieszczyk wyjeżdżał czem prędzej do sąsiada, zostawiając na łaskę Bożą i carskich sług pod opieką ekonomy cały swój majątek.

Oprócz dzieci, kalek, kilku bab, co to nie boją się wojaków, i psów szczekających i wyjących nikt nie zostawał we wsi — wszystko uciekało co tylko było wiernopoddane, obawiając się nahaiki i złupienia do szczytu.

Gdy zaś spadli jak meteor miateżniki, spokojność panowała na twarzach mieszkańców — chłopi mówili to „nasi panowie“ podtrzymując strzemiona wąsatym jeźdźcom — córeczki popa rumieniąc się koniecznie, coś dumaly o pięknych ulanach — ich ojciec dobrodziej uśmiechał się i mrugał w nadziei picia herbaty lub najmniej dobrej wódki. — Szlacheic pomieszczyk pusząc się jak paw bez ogona, opowiadał o konfederacji barskiej i kokoszej wojnie, magnifika zaś rozczulona całując medal matki Boskiej — pokazywała swym malcom dziwnych zakurzonych tych jeźdźców, coś szepcując im w ucho o Polsce i Bogu.

Cóż robili ci jeźdźcy? — Napoili konie, i pobiegli gdzieś dalej. Pewnie im pilno było, że nie zaspokoili ciekawości żyda, nie ziszcili nadziei popa i jego córeczek i przewali swoim odjazdem nagłym, bajanie pomieszczyka dziedzica o sławie, honorze i niezłomnym męstwie, zastępów Rzeczypospolitej podczas kokoszej wojny, w obozie pod Buskiem i Glinianami.

„Jakieś młokosy!“ „za naszych czasów“ bąknął pod nosem, pomieszczyk... nie dokończywszy zadasy, wynurzenia swojej myśli...

— „To były zwiady“ — odezwała się po kilku chwilach zamyślona gospodyni — przerywając dąsanie się męża.

— Jakto zwiady? moja kochana! — a żeby i zwiady, — cóż to nie mogli się zatrzymać na pół godzinki — ja ci mówię, co nagle to po diable — jakieś sekreta!!! ja tego nie pochwalam — za moich czasów... Było to inaczej — Jasuniu! — już opowiadałeś mi to nieraz — ale teraz...

— Teraz nie tak! to bardzo źle, ja tego nie pochwalam — nie zgadzam się z takim postępowaniem — potępiam ten sposób wojowania! — na wszystko jest czas, jeżeli człowiek z namysłem działa — i do szabli i do szklanki — nasi ojcowie...

— Już dawno w grobie — dodała złośliwie żoneczka.

— A jużci — nie inaczej, że w grobie ale ich sława żyje — odrzekł z emfazą szlacheicura: już to nie zaprzeczysz, że my starzy, Helusiu! — że świat się degeneruje — było to inaczej!..

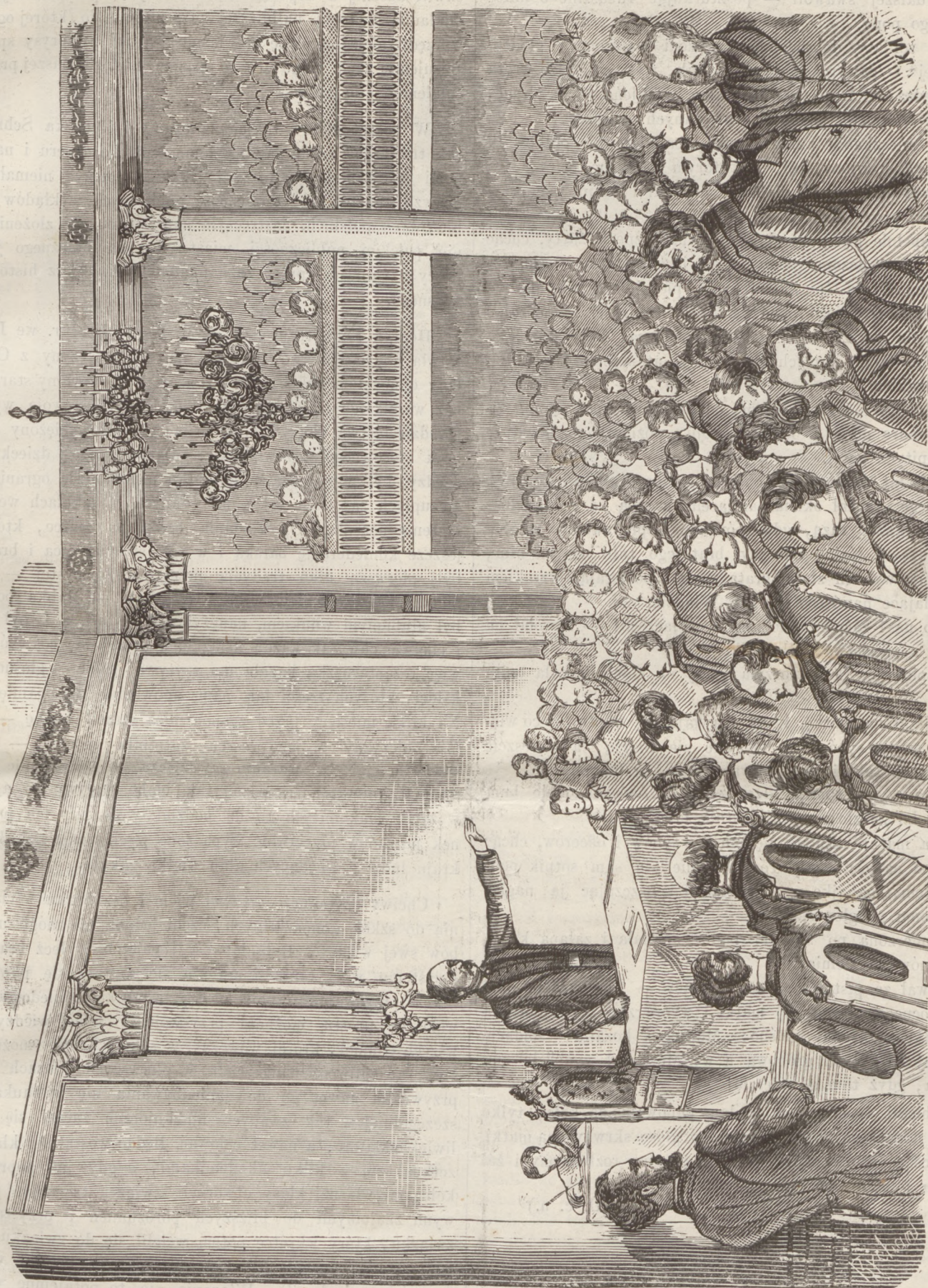
— Ja tego nie widzę — nasza młodzież Bogu dzięki jest chwacka i dziarska...

— Chwacka i dziarska, a umyka przed Moskalami — pewnie są blisko kozunie — za moich czasów!..

— Lecz to' były zwiady! — ale nie ucieczka odparła z niechęcią małżonka... .

— Zwiady! zwodzić kogo to nie po rycersku nie po naszymu... nie po... „Kozacy! Dońce! Czerkiesy! Baszkiry!“ Okrzyki nagle i szczekanie psów przerwały dialog małżonków. —

Pomieszczyk dziedzic zaskoczony tą niemłą zapowiedzią — pobladł jak chusta — żona jego szepcowała jakąś modlitwę całując medal z matką Boską, chłopaki zachmurzyli się, zasłaniając matkę — kot faworyt uciekł za piec — i milczenie ogólne zapanowało w domu, tylko brytan na łańcuchu ujadł bezustannie, odpowiadając wyciem szczekaniem psów wiejskich.



Wykłady popularne z historii porzobiorowej polskiej, Henryka Schmitta (w sali radnej ratusza lwowskiego).

„Psy wyją! — to kozacy!! mruknął pan domu, — pochowaj srebra do gruby — dodał przezornie gospodarz — a wy chłopcy bądźcie grzeczni!

Jeszcze nie dokończył szlachcic tych słów, gdy nagle cały dziedziniec zaległo kozactwo — przygłuszając zlorzeczeniem — klęciem — wycie i szczekanie wszystkich psów wiejskich.

— Masz zwiady!! kochana Helusiu!

— Bóg miłosierny! odrzekła jego żona — brodaci, o dzikich twarzach przybysze, uwiązawszy swoje konie u płotów, rozbiegli się po całej wsi.

Jęki, płacze i krzyki żałośnie, zniecka napadniętych mieszkańców, oznajmiały gwałty i rabunek dokonane (a biednym ludzi, którego cały dobytek stanowi wychódła krowa lub z pracy i głodu omdlałe woły, a które po jednym zagoszczeniu takich gości podpadają zniszczeniu, rujnując na lata mienie całej osady.

Na prośby i narzekania odpowiadały przekleństwa żołdactwa, na lzy i płacze nahałki kozackie — na opór lub zatajenie kury albo jaja, łoskot między dziatwe i baby wypalonej janczaiki — na jęki bólu i śmiertelne konanie, śmiech dziki i szatański, rozhukanęj tłuszczy:

„Pogulajcie rebiata!!!“ — wołali oficerowie podlegając swych podwładnych do dalszej swawoli — poszturkując rubasznie o miłosierdzie proszącego popa,

— „Carskie żołdacy dobrodzieju! znużeni marszem i głodem w obronie waszej“ — zawyrokował pułkownik, wytrącając za wrota z dziedzińca księdza, dodając sakramentalne przekleństwo na drogę, wyszydzonego od oficerstwa pasterza zrabowanych owieczek.

We dworze, mieszkaniu pomieszczyka, bankietował pułkownik ze sotnikami. — Zastawiony stół, na którym pieczone kury, gęsi i kaczkę uszykowała gospodyni, nie żałując wódki i czaju, usmierzył zapalczywość starszyny.

Pułkownik zupełnie pijany, traktował dwuznacznymi żarty, chcąc być dowcipnym, przestraszona pani domu, jego zaś towarzysze, rodem gdzieś z nad Uralu śpiewali dziwne pieśni, niezrozumiałym dialektem, na cześć cara, jego rodziny i frejlin dworskich, zmuszając gospodarza do picia za zdrowie młodego gosudara, który uznając zasługi kozackie, osobiście jest ich najwyższym atamanem i prawdziwym ze krwi kozakiem.

Chłopcy Józio i Władzio, dręczonej od kozactwa pani domu synowie, stali z ponurą miną w kącie pokoju, pozierając gniewliwie na rubasznych opitych gości.

Władzio miał lat trzynaście, chłopczyna na swój wiek silny, charakteru śmiałego, rzucał okiem palającym groźbą na pułkownika i jego towarzyszy, każdą razą, gdy mówiono nieprzyzwoicie w obecności matki jego, — Józio, młodszy brat jego tulił się za nim, jakby przeczuwając wybuch złości brata swego, pozierając wzrokiem proszącym w palające namiętnością lice Władzia.

— Malce! do nas! zaśpiewajcie nam coś laszego! — zawołał na raz przebudzony z pijaństwa pułkownik.

— Tak! zaśpiewajcie!! powtórzyła jakby na komendę cała opita rzesza oficerów.

Władzio spojrzął na matkę, która obawiając się uporu lub co więcej, tłumaczyła swych synów, że śpiewać nie umieją, a nareszcie nieprzyzwyczajeni do tak licznych towarzystwa, są bojaźliwi.

— My ich nauczymy śpiewać! zaraz tu do nas wy małe buntowszczyki! zawołał ze złością jakiś sotnik brodaty.

Przestraszona matka, rzuciła się między synów i oficerów, chcąc ochronić dzieci od napaści, gdy równocześnie ten sam sotnik podniósł, niby żartem, nahajkę w powietrze i spuszczając ją nagle, uderzył panią domu po głowie.

Gospodyni uderzona po skroni, padła omdlała i zalana krwią u nóg swych synów na ziemię.

Władzio porwał za pistolet na stole leżący — zostawiając ojcu i swemu bratu ocucenie zemdlalej matki i wymierzwszy do sotnika co uderzył matkę, zawołał głośno: Morderco kozaku! soldacie carski! zaśpiewaj mi pieśń grobową a wy Moskale! zanućcie mu marsz do piekła, gdyż tam go odeszł!

Moskale pobledli — cisza śmiertelna panowała do koła, tylko szlochanie brata młodszego, podtrzymującego głowę skrwawioną matki, przerywało tę scenę, wyobrażającą postrach, gniew rozbudzony i żal nie utulony ojca i młodszego syna.

(D. c. n.)

Henryk Schmitt.

Zwyczaj powszechnie przyjęty przez pisma czasowe przestrzegają, ażeby zamieszczać tylko życiorysy zasłużonych mężów nieżyjących. — W nowszych czasach od zwyczaju tego odstąpiono — a my zaś wcale się nim nie krepujemy, lecz przeciwnie podajemy zawsze chętniej życiorysy ludzi żyjących, a rzetelnie zasłużonych krajowi, aniżeli dawno-zmarłych, o których tu i owdzie dzienniki krajowe lub zagraniczne podadają zwykle wyczerpujące szczegóły przedziej, aniżeli zdołają je pozbiierać tygodniowe lub miesięczne czasopisma. Biografię mężów, działających za naszych czasów, mają jeszcze tę wyższość w oczach

naszych nad tamtymi, że unaoczniają nam niejako historję chwili obecnej a wspomnienia z ich życia przypominają nam żywo dokładną historję najbliższej przeszłości. do której ogólnego pasma wprzędli niejedną nitkę ci właśnie, co ich życiorysy spisujemy — a spisujemy tych tylko, co to pasmo historji naszej przędli i przędą sumiennie i uczciwie.

W poczet mężów takich zaliczamy i Henryka Schmitta — który tak trwałością zasad jak niezłomnością charakteru i nadzwyczaj cenami pracami badań historji polskiej położył niemałe zasługi dla ojczyzny naszej. — Okoliczność publicznych wykładów dziejów porobiorowych polskich, nastęrczyła nam sposobność złożenia mu w imieniu polskiej publiczności miasta Lwowa, należnego jego mozolnej pracy uznania — przez zaznajomienie rodaków z historją życia jego własnego.

Henryk Schmitt urodził się 6. Lipca 1817 r. we Lwowie z ojca Pawła obywatela lwowskiego i matki Katarzyny z Orzechowskich. Gdy ojciec umarł w r. 1823, Henryk pozostawiony staranności matki bez wszelkiego majątku, winien jej był tylko swoje wychowanie. — Od dzieciństwa okazywał on pociąg nieprzewyciężony do nauk, lecz brak stosownego przewodnika, ułatwiającego dziecku nabywania wiedzy, był powodem, że wszystko musiało się ograniczać długo na szczupłych zasobach tejże, nabywanych w szkołach według dawnego systemu uczenia. Opowiadania babki po matce, która pamiętała jeszcze konfederację barską i w niej straciła ojca i brata starszego, były pierwszą dlań tradycją przeszłości ojczyznej — i pierwszym niejako zaszczerpieniem miłości ojczyzny. — Babka bowiem, której był ulubionym wnukiem, nauczyła go czytać, a że był chciwy nauki i chciwie chwycił każdą książkę, z której się coś mógł nauczyć — więc też staruszka kazała mu czytywać sobie — głośno stare jakieś księgi, których treści jak nam opowiadał nie pamięta dzisiaj. — Na kilka miesięcy przed zgonem ojca stracił babkę — a jeżeli miłość ojczyzny w jego sercu zatętniła mocniej — jej to opowiadaniu, jej to staraniu zawdzięcza to nieochybnie jak nam powtarzał nieraz. Na pozór tak blahe wpływy — a ileż to razy w życiu znakomitych mężów podziałały na cały ich przyszły kierunek jak znów przeciwnie wypaczone wychowanie dziecka wydało dla kraju ludzi — będących dlań wielką zakałą.

Chciwy czytania, czytywał wiele i bez braku w ciągu uczęszczania do szkół gimnazjalnych, czem jednak nie mógł uposażyć zasobów swej wiedzy. Była łatwość i pojętność, lecz brak przewodnika i systemu w czytaniu i uczeniu się stawały się powodem mnogich luk w przyswajaniu sobie wiedzy, a walka z niedostatkiem odejmowała po prostu możność przyswojenia sobie wiedzy gruntownej i wszechstronnej, której wówczas w szkołach nie można było nabyć. niesprawiedliwość nauczyciela w pierwszych klasach gimnazjalnych przywiodła nawet go do zaniebdywania się w naukach szkolnych szczególnie w tak zwanych humanjorach zaczął się im znów gorliwiej oddawać, a nawet celować. Będąc wostatniej klasie gimnazjum zetknął się z kilku akademikami, a gdy już poprzednio z kilku kolegami własnej klasy utworzyli związek tajemny, przyszło z nowymi znajomymi do bliższych porozumień i przystąpienia do ich związku, który wkrótce potem wcielił się do związku synów ojczyzny i stowarzyszenia demokratów, (gdy już był na wydziale filozoficznym w akademji). Wiązanie się to potajemne wywarło wpływ najbawiennejszy pod względem moralnym i intelektualnym na ówczesnych związkowych, którzy nie tylko wytworzyli między sobą rodzaj braterstwa, ale przytem wzajem czuwali nad najsurowszą moralnością i nad ścisłym dopełnieniem wszelkich obowiązków rodzinnych, obywatelskich lub innych przyjętych, a niemniej dopomagali sobie do nabywania nauki. W r. 1835 wykonał Henryk pierwszą uroczystą przysięgę na Wysokim Zamku jako członek związku — a powtórnie 1836, gdy ów związek wcielił się do bardziej rozgałęzionego, wykonał nową na tegoż statuta w ręce poczeiwego Oleksińskiego, dawno już zmarłego. Rok 1831 zelektryzował 14letniego chłopca, tak dalece, że szczególnie od tego roku zawód jego i kierunek życia był zdecydowany — a oraz że od tego czasu począwszy uchodził

atoli w gronie wszystkich kolegów tak własnej klasy jak niemniej klas wyższych za „dobrego“, t. j. za gorącego patriotę.

W niższych szkołach już brał się do pióra, lecz pierwszy utwór lepszy, który później zaginął w rękopiśmie, była to rozmowa między starym kmiectem a młodszymi gospodarzami, objaśniająca ich o prawach i obowiązkach każdego człowieka i zaszczepiająca

w ich sercu miłość ojczyzny. Skompromitowany z początkiem roku 1837 i zagrożony uwięzieniem, jak go zewsząd ostrzegano, przestał uczęszczać na wykłady (2go roku dawnej filozofji) — a kryjąc się jakiś czas między kolegami, wyjechał w marcu jako nauczyciel do ś. p. Józefa Zaremby w Złoczowskie, w którego domu pozostał rok cały. Tu poznał Rycharda Hermana, współwłaściciela Rzepniowa; męża surowej cnoty i prawdziwie obywatelskiego ducha, i niebawem zespoliła go z nim najserdeczniejsza przyjaźń. Bywał też częstym u niego gościem, o ile mu tylko pozwalały zatrudnienia obowiązkowe, a ładny jego zbiór książek dostarczał mu możność uzupełniania wiedzy. Lubiono go też w całej okolicy, jako młodzieńca pracowitego i prowadzącego się bardzo przyzwoicie. Poznał tam przytem wielu z ówczesnych agentów i emisaryuszów. Po roku wrócił do Lwowa, z kąd za miesiąc (w kwietniu 1838) wyjechał z Franciszkiem Wiesiołowskim do Wojsławia, gdzie objął założoną przezeń szkołę ludową. Równy prawie wiek i równe usposobienia zespoliły ich szczerą z sobą przyjaźnią, a gdy szkołka z powodu trudności ze strony władzy i kleru musiała ustać, wziął się w Wojsławiu do gospodarstwa. Na obu tak chromych stanowiskach stykał się nie tylko z całą rodziną Franciszka i jego żony, ale oraz i z całym sąsiedztwem, ciesząc się powszechnem tam poważaniem. W r. 1841 16 sierpnia został uwięziony na rozkaz sądu karnego lwowskiego w skutek zeznań rozmaitych współzwiązkowych. Więzienie śledcze przeciągnęło się aż do 25 stycznia 1845, w którym to dniu wypuszczono Henryka na podstawie amnestji, uwalniającej go od kary śmierci, na którą był skazany w pierwszej instancji i od zamienionej kary więzienia w myśl wyroku najwyższej instancji.

Więzienie tak długie, a szczególnie 11miesięczne samotne w ciasnej kaźni bez światła w ciągu długich wieczorów zimowych i najczęściej bez książek i wszelkiego zajęcia, ustaliło jego charakter, rozbudziło zastanawianie się nad sobą, nad niedostatkiem uzbieranej wiedzy, i nadało stanowczy kierunek jego dalszemu życiu. Ile było można brał się w następnym czasie pobytu w więzieniu do nauk. Po jedynastu miesiącach dano mu za towarzysza zacnego i prawego a przytem prawdziwie ukształconego księdza Kincla, proboszcza z Nawarji pod Lwowem. Oba pracowali wiele, a wieczory i poranki trawili na pogadankach treści poważnej, dotyczącej spraw publicznych. Po półtoraroczne mieszkaniu z sobą zostali jednak rozdzieleni. Henryka przeniesiono do innej kaźni, gdzie siedział z ks. Moszocą i urzędnikiem izby obrachunkowej Zinkiem, a potem przewieziono go z ostatnim z małych koszar, gdzie trzy blisko lata przesiedział, do karmelitów. Gdy ostatni zasłabł i poszedł do szpitalu — dano Henrykowi na własne żądanie przyjaciela jego Hermana Ryszarda —



R y s i e w G a l i c j i .

a gdy go wypuszczono z braku dowodów, przeniesiono go do Albina Dunajewskiego, z którym przesiedział już aż do amnestji częściowej 25 stycznia 1845.

Wyszedłszy z więzienia pojechał do Rzepniowa do Hermana, gdzie poznał siostrę cioteczną swojej żony pannę Leokadę Mitraszewską, dzisiejszą swoją małżonkę. Pobyt w Rzepniowie przeciągnął się do pół roku, poczem

odjechał do drugiego Hermana Florjana brata rodzonego Ryszarda, trzymającego podówczas Zarudzie w dzierżawie. Tam zjechał znany mu oddawna Teofil Wiśniowski w późnej jesieni, i uwiadomił o zamierzonym powstaniu w całej Polsce. Schmitt oświadczył mu się z gotowością poświęcenia się osobistego, lecz żądał wszelkiej ręką, zanim by mógł innych wciągać w robotę. Szczególniej zbijał wszelką myśl dania inicjatywy włościanom, wykazując, że musiałoby się skończyć rzezią — z czem się i Teofil zgodził. D. n.

Rysie w Galicji.

— Czas z d. 25. lutego zamieszcza od profesora Nowickiego zaczerpniętą wiadomość o rysiach w Galicji. Wczoraj przyszło z Gruszowca w powiecie Limanowskim czterech włościan do tutejszego profesora Dra Kozubowskiego z oświadczeniem, iż przywieźli na sprzedaż dwa zwierze ubite w ich okolicy. Ponieważ wszakże zostawili je na Podgórzu, a tylko utrzymywali, iż to mają być rysie (*Felis lynx*), zaprowadzono ich do gabinetu zoologicznego, by tam swój towar rozpoznali. Obaczywszy wypchanego rysia, pochodzącego z okolic Kijowa, uderzeni tożsamością zawołali w uniesieniu: „Ta! to ta sama bestya! — gdyby nam nasze ukradziono, powiedzielibyśmy, że to wy! Wnet przynieśli swą zdobycz, i w istocie dwa piękne rysie, i z dumą myśliwską opowiedzieli historją polowania na nie. Słyszeli oni jeszcze w jesieni o szkodach zrządzonych w owczarni pobliskiej wsi Kamienica, lecz poderjrzewali o nie jak zwykle wilka; nie dawno jednak doniósł im leśny z sąsiedniej wsi Dobra, iż widział w lesie coś na kształt ogromnego kota; wahał się wszakże nań polować; gdyż właściciel tej wsi przestrzegł go, iż ten zwierze łatwo go ze skóry odrzeć lub wnętrzności mu wypruć może. W poniedziałek tego tygodnia dostrzegli pomyślnie włościanie na śniegu pod Dobrą trop niby wilczy; zebraли się więc co rychlej w siedmiu i udali się na łowy, w nadziei, że wilka ubiją. Trzech z pomiędzy siebie przeznaczyli do gonki, a czterech usiadło ze strzelbami w zasadzce; lecz jakież było ich zdziwienie; gdy niebawem zamiast wilka wyszły dwa zwierze, których nigdy nie widzieli. Nie tracąc jednak odwagi ani czasu, dwóch najbliższych, gdy na umówiony znak, dało równocześnie ognia i położyło szczęśliwem trafem obu trupem, wielbiąc Boga za taką niespodziankę, mogącą według ich przekonania przynieść co najmniej sto papierków.

Ubicie rysia w kraju naszym jest w istocie nie małą niespodzianką godną umieszczenia w kronice zoologicznej, gdyż aczkolwiek był on niegdyś dość częstym, dziś dzięki dobremu gospodarstwu myśliwskiemu należy do zwierząt, które albo już się stały albo w niedalekiej przyszłości staną się tylko historycznymi. Jako chytry drapieżnik, ryś nie zasługuje wprawdzie na wielką sympatję u lubownika fauny krajowej; wieść wszakże, iż już resztki tej ozdoby giną przykre poniekąd sprawia wrazenie.

Ryś jest zwykle 3 stóp długi, okryty włosiem czerwono-brunatnym, ciemno cętkowanym, ma ogon krótki a na końcach ust pęki włosów szczytnowatych. — Żyje pospolicie w gorzystych lasach Europy na drzewach, gdzie jest najbardziej szkodliwym zwierzęciem, gdyż skacze z góry na grzbiet innemu zwierzętom i dusi je, wysysając krew a ciała pochwyconych zwierząt nie pożera. Teraz znajduje się tylko w północnych okolicach Europy, ponieważ dla szkód, które czyni bywa bardzo wstępiany.

Na gruzach.

(Epizod z partyzantki 1863 r.)

napisał

Aleksander

Znałem szlachcica na ski się nazywał,
Młody był chłopiec o rumianem licu —
Słowików pieśni z wieczora słuchiwał,
Lubił przechadzki o bladym księżycu;
Uspobicie to często się zdarza
Spotykać w pannach z Ojca Aptekarza ...

Ale pan Stefan — o broń panie Chryste,
Abym na jego herbowanej tarczy,
Kładł jakie ziola lub rzeczy nieczyste!
Takim mnie grzechem życie nie obarczy.
Zaręczyć mogę z nałożeniem głowy,
Że ród to stary był — zacny — herbowy! —

Jak szlachcic każdy lubił psy — halasy —
Mysłiwskie rogi — awantury — burdy —
Wspominać króla ostatniego czasy —
Pleść w polityce o kraju absurdu,
Do tego dodać to koniecznie muszę,
Kiedy wróg pierzchał — srożył strasznie
[duszę.

Zaś serce złote miał — serce poety!
Gotowe kochać księżyc — gwiazdy — kwiaty,
Za co go bardzo lubiały kobiety,
Przez księżyc błądząc z nim często za
[światy
Rzeczywistości — rzecz arcy przyjemna
Być na księżycu, kiedy noc jest ciemna.

W powiecie nawet chodziła infama,
Że szlachcic palce atramentem brudził..
I pisze rymy!! jestto wielka plama
Przyznaję... w herbie tylko i u ludzi,
O których mało dbał i gardził nimi,
Za coś wyższego mając się na ziemi. —

Dlatego czasem miał chwile czułości —
Dziwnego smutku — i z posępną twarzą,
Patrzył na księżyc oczami miłości
I szukał duchów umarłych, co marzą
U gwiazd zwieszono — i w girlandach
[cudnych
Są aniołami gdzieś w światach bezludnych.

A czasem znowu miał chwile rozpaczny,
Gotów był wtenczas mówić rzeczy straszne
Przeklinał niebo! grzech mu ten wybaczy
Każdy katolik — wspomniawszy na własne,
I papież może da mu rozgrzeszenie,
Także przez pamięć na własne sumienie.

Dewotek tylko wiem, błagać daremno. —
Świętość ich dla mnie jest wzorem pokory!
Kłęczą u krzyża — chodzą całe ciemno —
Bratem jest dla nich każdy biedny — chory,
Te katolickie pulki poświęcenia
Wszystko umieją, oprócz przebaczenia!

Dlatego Stefan, chociaż był kochany
Jak Bóg Apollo od Nimf powiatowych,
To przez dewotki był z raju wygnany.
I miał do piekła iść — dla Cerberowych
Zachcianek wcale nie brzydki —
Głośno mówiły o tem Neofitki...

Na takie wszystkie gadania dewotek
Milczał pan Stefan i nic nie uważał, —
Czem jeszcze więcej pomagał do plotek:
Milczeniem bowiem najsrożej znieważał
Czarne świętości — co tak pragną wojny...
Nie przebaczały mu — że był spokojny. —

Ja sam nie lubię pisać o tem — myśleć,
Ani rozmawiać, — nawet mam ochotę
Cały ten ustęp z powieści wykreślić —
I w zamian za to zapalić wam złote
Gwiazdy na niebie... Lecz struna trącona
Dźwięk już wydała — gdy słaby — niech skona!

Dziś posągowych stwarzać wam postaci
Trudno — bo marmur kruszy twarde dluto —
A bohaterów z nowej szlachty brać
Tyle już różnych na świecie wykuto...
Że nam się dzisiaj z tej falangi całej
Same się tylko — Stańczyki zostały.

Mam porównanie jeszcze w mojej tece
Zamknięte na klucz. — To zmarłe wspomnienia,
Ciche anioły moje — z niemi leczę
Nieraz nad gwiazdy aż — aż do zmęczenia —
A potem senny siadam odpoczywam
I rozmarzony tak dumam — lub ziewam!...

Tych moich myśli — walk — a potem śmiechu
Leży pod strasznym głazem niepamięci
Pelen grób — niemy dzisiaj. — Z tego grzechu
Spowiedzi nie dam tłumowi — Przekłęci!
Niech rozgrzebują przetłale popioły —
Choć to upadli — dla mnie są Anioły.

Tam ona także umarła spoczywa
W przepaści serca — z kwiatami u skroni...
I co dzień jedną strunę harfy zrywa
I jedną różę bierze z mojej dłoni...
Duch jej przychodzi — tak przed laty była,
Piękna i święta — a przecież — zdradziła.

Przebaczyć każe rozsądek i cnota
I Chrystus wreszcie każe — przebaczyłem!
I zapomniałem — a jednak tęsknota
Wiedzie mnie nieraz w te kraje gdzie
[żyłem
Z nią razem, — szczęście mając zamiast
[sławy,
Dlatego pieśni mych rym jest chropawy.

Dlatego dzisiaj przeszedłszy przez zdrady
Kilku przyjaciół, Jej i reszty świata,
Na twarzy noszę taki wyraz blady,
A śmiech z ust moich nigdy nie odłata.
Chociaż bezbronny jestem i bez siły,
Wlecze się za mną aż tu do mogiły.

Ten śmiech mi nieraz fałszuje liryczne
Uczucia, które w powieści się rodzą, —
Albo mi rzuca na twarz przesłizne
Kłamstwa — co moje natchnienie tak
[chłodzą,
Że najpiękniejszą gdy przepływam chmurę
Z kobietą, robię z niej — karykaturę. —

Lecz w tej powieści, nie chcąc romantyków
Zrażać dla siebie, zwyczajnie odstąpię;
I pannę Annę nad brzegiem strumyków
Posadzę — a gdy pochwał nie poskapię,
To zobaczycie postać jakby złudną —
W girlandzie kwiatów stojącą — precudną.

Lecz że anioły nie chodzą po świecie
Jak ludzie — albo raczej jak bankierzy,
Toć i wy proszę wybaczenie poecie —
Gdy mu u skrzydeł wisi zamiast pierzy
Wekslarz — poezji niema w tej postaci,
Zwłaszcza gdy krzyczy czemu pan nie płaci?

Lecz to są moje domowe kłopoty,
Z których nieprzyjdzie nic poematowi,
Zwyczajne buze, pioruny i słoty!
Z których poezja czasami ulowi
Imaginację — jak na szpilkę muchę
Zaś szczerą mówiąc prawdę, rzeczy suche.

Do poematu zatem! niech żyd czeka,
Aż wam kochanków pokażę w altanie,
W tej fantastycznej chwili — gdy narzeka
Słowik i czułych gołębi gruchanie
Jest symbolicznym znakiem, że tam gości
Wenus — jak wiecie, bogini miłości!
(C. d. n.)



(Ona do siebie): Toż ojcowie miaszta żony także mają,
A szrom! niewiaszt swoich tak poniewierają.
(On do siebie): Verfluchter autonomja! — der Teufel ta Rada!
Na splawnych ulicach żegluge posiada.

Znikła historia więc i bohaterzy
Kord na sercowe zmienili gruchanie —
A lepiej biją tuzy i kozery,
Niżeli wroga — ostatnie powstanie
Dowodem tego

Przez małą miedzę majątku Stefana
Mieszkała wdowa z córką — śliczna Anna
Przez matkę była Bogu zapisana —
Dlatego smutku chmura nieustanna
Wisiała nad jej rozmarzonym czołem,
Porównać mógłbym ją chyba z Aniołem.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

Żebracy ukraińscy (z ryciną). — Więzienie w Tobolsku. Urywek z pamiętników zbiega. — Renegat. Powieść tegoczesna, przez A. Nałęcz. — Henryk Szmitt (rycina). — Z nauk przyrodniczych (z ryciną). — Na gruzach. Epizod z partyzantki 1863 r., przez Aleksandra — Humoreska (z ryciną.)